

Polował z jastrzębiem

► Henryk Mikowski wie, jak wykorzystać wiatr, by ten niósł go tam, gdzie chce

Halina Gajda

Można powiedzieć, że latam na szmacie. Trzymając się tej konwencji - latam na szmacie z motorkiem. Czasem nawet kilometr nad ziemią. Polecam, ma się zupełnie inną perspektywę w patrzeniu na świat...

Owa szmata to parolotnia, a autor powyższych słów, gorli-zanin Henryk Mikowski, siedział przede mną dobre dwie godziny i z pełnym entuzjazmem próbował mnie przekonać, że taki lot, to jest to coś, czego warto spróbować.

- Musi pani wiedzieć, że owa szmata - nie lubię tego określenia, ale niech już będzie - ale potocznie wśród parolotniarzy nazywa się to skrzydło, a „krzeselko” na którym siedzi parolotniarz, to uprzęż. Cała sztuka latania polega na tym, że szuka się stromego, odkrytego zbocza z którego rozpoczyna się lot. Prądy powietrza powinny nas unosić. W zasadzie od tego zaczyna się przygoda z parolotniarstwem - opowiada.

Skąd to się wzięło u niego? Żadne fascynacje filmami czy książkami, żadne dziecięce próby skakania z drzewa i machania rękoma. Po prostu, jako dorosły mężczyzna postanowił zrobić specjalny kurs parolotniarstwa, a po nim kupić potrzebny sprzęt.

- Była niedziela. Zima, piękne słońce, mróz i powietrze jałckryształ. Stwierdziłem, że to jest ten

dzień. Spakowałem wszystko do samochodu i nie mówiąc nic nikomu pojechałem do Radocyny. Oczywiście wcześniej zrobiłem rekonesans - z której okolicznej górki można by sfrunąć. Padło właśnie na Radocynę.

Oczywiście nie dało się wjechać na szczyt autem, trzeba było zaparkować u podnóża wziąć cały sprzęt na grzbiet i w drogę. Śmiejąc się wspomina, że nie przeszkadzał mu ani śnieg, ani mróz, ani ciężki ładunek na plecach. Emocje okazały się być najlepszym znieczuleniem i dopalaczem. Musiały być naprawdę wielkie, bowiem sam lot trwał około 15-20 sekund i w zasadzie skończył się tam, gdzie zaczęła wyprawa czyli podnóża wzniesienia, a wspinaczka dobre kilkadziesiąt minut.

Mikowski przyznaje, że nawet te dwadzieścia sekund to niewiele, ale w powietrzu czas zdecydowanie inaczej płynie - podkreśla.

- Na ziemi wydaje się, że dwadzieścia sekund to niewiele, ale w powietrzu czas zdecydowanie inaczej płynie - podkreśla.

To, co wówczas robił, nazywa się lataniem swobodnym. Polega to na tym, że lotniarz wykorzystuje prawa fizyki i meteorologii. Wiadomo bowiem, że ciepłe powietrze zawsze unosi się do góry. Powstają wówczas liczne prądy wznoszące, które utrzymują niejako lotnię w powietrzu. Czasem bywa ich tak dużo, że można



By spojrzeć w oczy ptakom, parolotni potrzebny jest napęd. Wtedy można latać, ile paliwa w baku wystarczy



W ten sposób można przelecieć setki kilometrów

przelecieć wiele kilometrów. Zazwyczaj jednak w naszym terenie z niskimi górami jest to co najwyżej kilkaset metrów.

By jednak spojrzeć ptakom w oczy, potrzeba trochę więcej czasu. Z kolei, by utrzymać się w powietrzu dłużej niż 20 sekund, konieczny stał się napęd mechaniczny lotni. I tak nasz bohater stał się motopa-parolotniarzem. Dzięki silnikowi może startować z dowolnego miejsca i latać, na ile starczy mu paliwa w baku. Dzięki temu mógł towarzyszyć jastrzębiowi w polowaniu...

- Rzeczywiście stało się tak, że spotkałem się z ptaszyskiem.

Przez kilka minut krążyliśmy blisko siebie. Ja z zachwytem wpatrywałem się w niego, on zaś zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. Z boku mogło wyglądać to tak, jakbyśmy wspólnie polowali. W końcu chyba mu się znudziło moje towarzystwo i poleciał załatwiać swoje sprawy - opowiada ze śmiechem.

Mało kto wie, że Mikowski jest nie tylko pierwszym w Gorlickiem parolotniarzem, ale i pierwszym, który skonstruował specjalny kask z kamerą. Wszystko dlatego, że podczas lotu trzeba mieć wolne ręce, by móc sterować

lotnią, nie da się jednocześnie trzymać czegokolwiek. Fakt cała konstrukcja waży kilka kilogramów i po założeniu na głowę mocno się to odczuwa. To, co przez lata obserwowałem z perspektywy ziemi, z powietrza wygląda zupełnie inaczej. Chociażby miasto. Na filmach z trudem wylawia się szczegóły. Ratusz nie jest wcale tak wysoki, wtapia się w ogromną liczbę innych budynków. Nie jest tak wyeksponowany, jak wydaje się to z ziemi.

Pytany o najdziwniejszą przygodę, która mu się przydarzyła z oporem opowiada o tym, jak zrobił

kolegom niespodziankę. Lecąc nad ich domem zrzucił buteleczkę z procentowym małym co nieco. Niestety, okazało się, że musi poświęcić trafianie do celu, bowiem buteleczka zamiast na stóg słomy spadła na ziemię. Rozbiła się. Koledzy mocno się rozczarowali...

- Najprzyjemniejsze są chwile, gdy unosi mnie wiatr. Zawisa się wtedy w powietrzu w miejscu. Gdybym miał określić, co wówczas czuje to nasuwa mi się dwa słowa - wolność i nieprzemijanie - dodaje.